

ZOFIA NIEDŹWIEDZKA

# ZMORA



**Zofia Niedźwiedzka**

# **Zmora**

.....

**Fundacja FESTINA LENTE**

Za nieosłoniętym oknem szła noc.

Nagle krzyk padł w ciszę.

Krzyk przeraźliwy — pełen rozpaczliwych wibracji, jakby wyłoniony z dna kar i pomsty.

Jacek zerwał się z łóżka i — oniemiały patrzył na żonę.

W skąpym świetle nocnej lampy ujrzał ją na wpół podniesioną, z łokciem opartym o poduszkę, z oczami roziskrzonymi dzikim obłędem.

Krzyczała.

Śliczne jej usta były rozciągnięte w paroksyzmie spazmu, tak że dwa rzędy równych zębów bieliły się straszną zwierzęcą białością na tle półmroku.

Z oczu, wyszłych prawie z orbit, wypadał niekiedy błysk jakiejś wielkiej mocy — zbuntowanego ducha, co orlimi szponami zabija nędzną, tchórzliwą materię.

Dwie siły zdawały się walczyć w tym wzroku, odbijając się w nim jak w zwierciadle: śmiertelny strach i obca jakaś napadająca przemoc.

Krzyczała wciąż.

Jacek oprzytomniał wreszcie.

— Co ci to, Steniu?

Umilkła i piękna jej głowa spoczęła na chwilę z przymkniętymi oczami na jego ramieniu.

— Ach... zmora mnie męczyła! Przestraszyłam cię...

Na wpół senna oddawała mężowi pocałunki — i zaraz głęboko zasnęła.

Wieczorem u rodziców Steni Jacek opowiedział o zmorze — i o wrażeniu, jakie to na nim wywarło...

— Co?... Krzyczała już?... Mój kochany; to u niej chleb powszedni — rzekł Marian, brat Steni — krzyczy tak od lat wielu i nic jej nie jest.

— Nie rozumiem.

— No, miewa zmory.

— I... często?...

— To zależy. Nie lubiłem jej sąsiedztwa w nocy, gdym się do egzaminów sposobił. Wiesz... nerwy naprężone, a tu... wśród grobowej ciszy taki krzyk.

I przez chwilę wszyscy rozprawiali wesoło o zmorach w ogóle. Rodzina Steni widocznie nic sobie nie robiła z tych jej nerwowych ataków.

Jacek usiłował dostroić się do ogólnej wesołości, panującej tego wieczora w domu rodziców żony — i nie mógł.

Noc nie przyniosła snu.

Wszelkie silne wrażenia padające mu na duszę musiał wciąż przeżywać, aż się wyczerpały — zbladły.

Krzyk Steni dręczonej zmorą wszedł mu w nerwy, jak zapowiedź zbliżającego się nieszczęścia.

Od tygodnia był żonatym, od trzech miesięcy znał Stenię.

Dziewczyna była cicha, urocza. Oczy miała lazurowe, trochę zamglone, jakby oskrzydłone cieniem z wewnątrz pochodzącym.

Chodziła z pewnym ociąganiem się, głos miała niski, stłumiony.

Małżeństwo nie obudziło jej zmysłów. Kochała męża. Nie rozumiała tylko i nie podzielała jego namiętnych porywów.

— Gdybym jakimkolwiek cudem zmienił się w kobietę, nic byś nie miała przeciw temu — rzekł raz dotknięty jej chłodem.

— Byłoby ci brzydko w kobiecym stroju — odrzekła wymijająco.

Zawsze bierna i chłodna wyglądała tak, jak gdyby nie była dostatecznie rozwiniętą fizycznie.

Tym więcej zdziwiła Jacka szalona zmiana w wyrazie twarzy żony, którą dojrzał w chwili napastującej ją zmory — wyraz mu dotąd nieznany, niepodejrzewany, a którego natury nie umiał sobie dobrze określić.

Następne dwa tygodnie minęły jak jedna upojenia chwila pełna tajemniczego szeptu, cudownych zwierzeń, cudownych tęsknot.

— Kochasz mnie? — pytał nieraz.

— Kocham więcej aniżeli wszystkich — odpowiadała.

Po pewnym czasie Jacek spostrzegł, że żona jego ma nienormalne usposobienie.

Często patrzyła tak, jak gdyby myśl jej cofała się w niezmiernie oddaloną przeszłość, jak gdyby to, co ją

otaczało, było dla niej obcym, wprost niekiedy niedostrzegalnym.

Mówiła o ludziach dawno nieistniejących jako o swoich dobrych znajomych lub o przedmiotach nigdy niewidzianych jako o rzeczach sobie znanych.

Raz, gdy długo przechadzali się w ciepłą noc letnią po ogrodzie, Jacek zwrócił jej uwagę na piękną gwiazdę poranną zawieszoną nad ich głowami.

— Widziałam piękniejsze zjawisko — rzekła.

Brwi ściągnęła i wpatrzyła się w jeden punkt, jakby coś w pamięci szukała.

— Widziałam na niebie kwiat płomienny, którego korona mieniła się w błyskach różowych i zielonych... I dopóki płonął, wszystkie barwy na niebie zbladły... zmiłkły w niemym zachwycie czy strachu, przed tym znakiem mocy nieznannej... Innym razem ujrzałam chmury purpurowe zwiane w draperie, które powiewały nad ziemią jak sztandar czerwony, gnany wichrem...

— Zorza północna!... Gdzieżeś mogła ją widzieć?... Przecież nigdy stąd nie wyjeżdżałaś... Wiem to od twojej rodziny. Tu się urodziłaś. Gdzież więc mogłaś ją widzieć?...

— Nie wiem, czy to była zorza, czy co innego. Opisałam ci zjawisko tak jak je widziałam. Wreszcie widziałam mnóstwo krajów, mnóstwo rzeczy, o których tu nie mają pojęcia.

— Chyba we śnie?

— Nie wiem... może... Ale to musiały być sny w niemowlęctwie, bo gdy zaczęłam myśleć, poznawałam z

rysunków rzeczy gdzieś, kiedyś widziane, a których moja rodzina nie знаła wcale.

— Czy mówiłaś kiedy komu o tym?

— Mówiłam, ale mnie wyśmiano, a nawet w domu zabroniono o tym wspominać.

Raz, wśród rupieci Jacka znalazła stare szerniałe malowidło.

Oczyściła je starannie.

Był to portret starego człowieka.

— Znam tę twarz — rzekła.

— Mylisz się. To jest jeden z moich przodków. Ten portret ma już lat ze dwieście.

— Znam tę twarz — powtórzyła — ale tylko nie mogę przypomnieć sobie, gdzie ją widziałam.

Brwi jej zbiegły się nad oczami — i myśl cofnęła się w głąb jej samej, niby w daleką przeszłość. Chwilę milczała.

— Już wiem. W małym kościółku miał kazanie.

Jacek się zdziwił.

— W istocie był, zdaje mi się, duchownym — rzekł.

— Schowaj ten portret. Zaraz ci narysuję to, co odnalazłam w tej chwili w pamięci.

Wzięła ołówek i rysowała, cofając się wciąż myślą w głąb siebie samej, małą kapliczkę średniowiecznej struktury, tłum ludzi i na ambonie księdza, z twarzą zupełnie podobną do starego portretu.

Coraz więcej zdumiony Jacek zadawał jej różne pytania, na które odpowiadała zagadkowo, grupując

niezwykłe fakty, zdarzenia, w sposób łudzaco podobny do rzeczywistości.

— Widziałam gdzieś... kiedyś... — mówiła — niezmierną i nieobjętą okiem wodę, po której płynęły zwały śniegów i lodu, wielkie jak okręty. Śniegi te niekiedy płonęły jak ogień. Byłam cała okryta włosem i nogi miałam poranione od kamieni. Jaskinia, w której mieszkałam drżała od pękających lodowców jak od uderzenia piorunów...

Mówiła, że zna uczucie ruchu skrzydeł, bo bujała w powietrzu, ale nie pamięta, pod jaką postacią.

Późnymi nocami snuła opowieści dziwne, głosem sennym, stłumionym, z oczami na wpół przymkniętymi, jakby wpatrzonymi w swoją linię, biegnącą poprzez wieczność...

O tych swoich snach czy urojeniach mówiła jako o życiach przeżytych przed teraźniejszym swoim istnieniem, z których strzępy jak sny nieprzypomniane dokładnie, wyławiała z pamięci.

Na wrażliwą, nieprzystosowaną do życia duszę Jacka opowiadania te padły jak jarząca się iskra na materiał palny.

Z początku słuchał jej majaczeń z zaniepokojeniem, jakie się uczuwa wobec odkrycia, że droga nam istota jest niebezpiecznie chora; później noce te, pełne tajemniczych, hipnotyzujących rojeń, porwały go swoim urokiem.

W dzieciństwie jeszcze miewał różne widzenia — zjawy. Wśród największej ciszy słyszał nieraz wołające go jakieś głosy; w pokoju, gdzie nie było nikogo oprócz



niego, czuł czyjaś obecność, a czasem zdawało mu się, że w przestrzeni staje się coś niezwykłego, tajemniczego, na co reagowało jego mocno bijące, wylękłe serce.

Zawsze samotny, nielubiany i nierozumiany w rodzinie nosił w sobie te szeptane rzeczy przeczuwanych, spychając je na dno świadomości.

Fantazje Steni objęły jego duszę mistycznym pożarem. Myśli wypełniły się nagle czymś dawno znanym, wydobytym z dna strupieszających wspomnień — czymś, co było częścią jego natury — nim samym.

Wspomnienia te usuwały go w mroczny, nieuchwytny lęk Nieznanego, który włókł się teraz za nim z siłą niezwalczonego uroku.

W cieniu tych rojeń, rozrastało się niepokojące przecucie rzeczy, nieobjętych rozumem ludzkim.

Pewnej nocy, wśród martwej ciszy zerwał się znów nagły krzyk.

Jacek podniósł głowę z poduszki i patrzył na żonę.

Przy świetle nocnej lampy spostrzegł, że gardło jej było silnie wydęte, język skrecony i jakby cofnięty w głąb, nozdrza rozszerzone, niby w wysiłku walki.

Umilkła — przymknęła oczy, namiętnie wyciągnęła przed siebie ramiona, jakby je zwierając nad kimś niewidzialnym — z wewnątrz idący blask rozświetlił jej rysy.

Pod jasno bursztynową skórą twarzy, szyi i piersi zdawała się wrząco krążyć krew, rozchylone usta miała do słów pieszczoty — pokorna i dumna, niby władczyni zniżająca się do miłości, pod jarzmem burzy zmysłów.

Jacek oniemiały z podziwu, patrzył na przeistoczoną postać Steni.

Ta wspaniała kobieta, pijana namiętnością, drżącą w rytmie jej oddechu, w niczym nie była podobna do chłodnej, biernej jego żony.

Umilkła i zasnęła, a on, leżąc bezsenny, wsłuchiwał się w szmer swoich myśli, rozpierzchłych w wirze pytań, pełnych trwogi i zdumienia.

Nazajutrz była bledszą, piękniejszą niż zwykle, rozmarzoną i jakby wyczerpaną cudowną rozkoszą godziny upojenia.

Od pieśczot męża uchylała się z zaledwie tajonym wstrętem.

Dla Jacka znikł spokój.

Pewna część jego duszy wciąż stała teraz na czatach, w oczekiwaniu czegoś, co się stać miało.

Noc zapadała i zmora Steni budziła go echem wspomnienia.

Uprzytomniał sobie wtedy oczy żony, w których, w chwilach nerwowego ataku, jak w zwierciadle odbijał się strach przed napastniczą jakąś mocą.

O tej tajemniczej mocy, której w końcu ulegała Stenia, wciąż myślał. Wlokła go niepokonana ciekawość zajrzeć do jej groźnej bezdny, zbadać jej dynamikę.

Psychiczne owo zjawisko niepojęte było dla niego, dla innych, a zrozumiałe niedostępnej głębi duszy jego żony.

Stenia pamiętała tylko, że zmoreę poprzedzał zwykle nieopisany strach — i że przed oczami widywała purpurowego ptaka, który szponami spadał jej na pierś.

— Spada mi na pierś z pieszczotą, a oczy ma jak dwa słońca, ale ja się go boję w pierwszej chwili — mówiła.

— A potem?... — pytał gorączkowo.

Opuściła głowę, brwi jej się zbiegły nad oczami.

— Potem... Nie pamiętam — odrzekła z niechęcią.

— Skończyła lat czternaście, gdy pierwszy raz miała zmoreę. Byliśmy o nią bardzo niespokojni, ale wkrótce rozwinęła się, wypiękniała i zaczęła wyglądać na lat siedemnaście — opowiedziała raz matka Steni.

Słowa te były dla Jacka objawieniem.

Nie wątpił, że żona jego stała się ofiarą erotycznej zmory.

Purpurowy ptak spadł na jej pierś z pieszczotą wówczas, gdy pąkiem jeszcze była.

Od wielu lat dzieliła miłość z erotycznym widmem, zamknięta w sobie — tajemnicza.

Bierna w objęciach męża, w uścisku miłosnym zmory stawała się jarzmiącą jak huragan wiosenny.

Z ponurą zazdrością patrzył teraz na tę kobietę lękliwą, dziewiczo-białą, a tak kłamstw pełną.

Widząc ją cichą, często tak zadumaną, że nie spostrzegą obecnosci ludzi w pokoju, jakby dusza jej zgubiła ciało, wędrując gdzieś w krainach jej tylko znanych, pytał siebie z udręczeniem gdzie myśli jej błądzą... z jakim zaświatowym widmem obcuje teraz?...

I zdjęty palącym uczuciem ciekawości zarzucał ją pytaniami, pełnymi podejrzeń co do jej wczesnej młodości i gniótł w sobie gniew, gdy ona, podnosząc na niego, lazurowe oczy, mówiła ze zdziwieniem.

— Moja przeszłość?... Przecież ja mam dopiero dziewiętnaście lat!

Raz pytał:

— Powiedz... Czy w tych swoich snach... W tych drugich życiach, jak nazywasz swoje wizje, znałaś purpurowego ptaka?

Zachmurzyła się i opuściła głowę.

— Nie pamiętam...

O zmorze swojej mówiła z niechęcią, rumieniąc się lub blednąc, co jeszcze więcej utwierdzało Jacka w jego podejrzaniach.

— Przypomnij sobie...

— Nie pamiętam — powtórzyła gniewnie.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego męża tak bardzo obchodzą jej wizje, dlaczego zmienił się w swoim z nią postępowaniu i wciąż ją śledzi oczami, jakby ją o jakiś występki podejrzewał.

Dotychczas nikt nie zwracał uwagi na jej opowiadania, wyśmiewano je nawet. To niezwykle zainteresowanie się Jacka jej znajomościami zza świata podnieciło jej usposobienie mistyczne.

Przypominała sobie wszystko, co zdawało się jej, że słyszała gdzieś w innym życiu. Teraźniejszość zaczynała się zlewać z urojoną przeszłością. Wszędzie szukała konturów jakichś rzeczy istniejących gdzieś poza tym życiem... Jakichś istnień

zmarłychwstających w jej pamięci zjawą niepochwytą.

Stawała się coraz więcej zamyślona — i coraz częściej napadała ją zmora.

Zaledwie krzyk wypadał z piersi Steni, Jacek opierał się łokciem o poduszkę i poblady z półobłądnym, przepojonym zazdrością wzrokiem, wpatrywał się w żonę.

Wiedział, że krzyk jest hasłem zapowiadającym zbliżenie się widma, niosącego upojenie miłosne, że zaraz... zaraz... ramiona jego żony oplotą niewidzialnego kochanka, a usta zaszepcą cudowną pieśczętę.

Wzrokiem gorączkowym przeszywał przestrzeń pokoju, słabo oświetloną nocną lampą, usiłując dojrzeć purpurowego ptaka. Wyławiał go ze swych myśli zawrotnych, obłąkanych... Wyczarowywał z otchłani obłądu.

I ujrzał go pewnej nocy, gdy krzyk Steni rozdarł ciszę.

Z szerokim rozmachem skrzydeł królewskich — z oczami żglącymi się słonecznym blaskiem, spadał cicho na pierś śpiącej kobiety — rozsrebrzonej poświatą księżyca.

Drgnęła... wgniotła się w poślanie, ręce wyciągnęła, jakby do obrony —

Chwilę trwała walka — i nagle rozprężyły się ręce kobiety — ramionami zdawała się kogoś niewidzialnego oplatać... Na policzki wybiegły

królewskie barwy... rozszerzyły się nozdrza — i z wewnątrz idący świetlisty błysk rozjaśnił twarz...

Usta zaszepotały cudowną pieśczętę.

Jacek nieprzytomny z pożądania pochylił się nad żoną — ujął ją w mocne ramiona, ustami szukał ust...

Otworzyła oczy władne, pełne dogasających wspomnień — nieznane dotąd Jackowi.

Oczy te wywleczone z ekstazy miłosnej brutalną przemocą zabłysły nienawiścią.

Odrzuciła męża ze wstrętem — i zaraz cicho i głęboko zasnęła.

Nazajutrz z rana, spod przymkniętych powiek, śledził ruchy ubierającej się Steni.

Wciągała na swe szczupłe, delikatne nogi czarne pończochy, zasłaniając się wstydliwie; ruchem dziecinnym zgarniała z czoła włosy, rzucając niekiedy nieśmiało lazurowe, na wpółsenne oczy na Jacka, w niczym niepodobna do tej innej o władnym spojrzeniu.

Uczuła na sobie płomiennie gniewny wzrok męża i opuściła bojaźliwie głowę.

Teraz już wiedział na pewno, że jaźń Steni rozdawała się — i że on posiadał tylko marną powłokę jej ducha, a ta inna — czarowna — należała do skrzydlatego widma, niedoścignionego gniewem ani pomstą.

O tej innej zaczął teraz marzyć, tej innej pożądać — wspaniałej, namiętnej kochanki króla-ptaka.

Ukazywała mu się w wyobraźni wyolbrzymiona, dumna, z oczami jak dwa słońca.

Wizja ta opanowywała go z wolna.

Jak wąż rozciągała mu się i skręcała w mózgu — czarowna, niedościgła.

Zaledwie zaczynała się rozwiewać, zwabiał ją znów, pełen żądzы bolesnej, cudownej męki...

\* \* \*

— Gniewasz się na mnie, Jacku... Nie wiem za co... Powiedz... Nie kochasz mnie już?... widzę... — mówiła raz.

— Chory jestem.

— Ach nie... nie to!... Jacku!... Ja czuję w tym wszystkim coś, coś strasznego... Dawniej nie byłeś takim... Nie wiem, co się stało... Nie wiem, jak temu zaradzić... i nic nie rozumiem... Kocham ciebie więcej, aniżeli wszystkich i wszystko, ale nie wiem, co mam robić, żebyś był jak dawniej.

Usta mu podawała do pocałunku, wpatrzona w niego błagalnymi, załzawionymi oczami.

Wzrok zanurzył w jej półotwarte oczy, aż do dna, a na dnie ich ujrzał dwa słońca, żglące namiętnością — oczy kochanki królewskiego ptaka.

Objął ją dzikim, obłąkanym ruchem.

— Daj mi choć jedną chwilę miłości takiej, jaką darzysz skrzydlate widmo!... Zarzuć nade mną miłośnicie ramiona, a gorące usta twoje niech mnie opalą królewską pieszczotą — zaszeptał nieprzytomny.

Uchyliła bojaźliwie głowę.

— Co?... Co ty mówisz, Jacku?... Co tobie?... Ja nic nie rozumiem... Tyś naprawdę chory...

Stała przed nim zdziwiona, biała, dziewicza...  
Odtrącił ją szorstko.

— Chory jestem.

Był chory.

W jego mózgu neurastenika rozpętały się wizje nocy posepnych — mistycznych.

W obłądnej pogoni za czymś urojonym, zaczął tracić poczucie rzeczywistości. Wizja wabiła go jak istota żyjąca, która mu się wymykała, niedościgła.

Brzaski samokrytycyzmu gasły. Jacek czuł, że w odmet obłądu wlecze go moc tajemna.

Nie sypiał prawie wcale. W twarzy miewał teraz dziwne drgania. Usta mu się niekiedy w niemym spazmie rozciągały do bólu, a krzyk dławił gardło...

\* \* \*

Nad życiem młodych małżonków zawisła zła wróżba. Wszystko, co było rzeczywistym życiem, zaczęło się od nich usuwać, roztapiać w myślach podsłuchujących, niespokojnych, wciąż zawieszonych u kotar przeczuwanego.

Pojęcia ich zbiegały się bezustannie na jednym punkcie rzeczy niezwykłych, tajemniczych, stających się poza ich teraźniejszym bytem — poza czasem, przestrzenią.

Z gorączkową niecierpliwością czekali nocy, ażeby w półmroku, z twarzami pobladłymi, przeniknieni



mistyczną trwogą, wydobywać z chorych mózgów roje majaczeń.

Ludzie zaczęli stronić od domu tych dziwnych małżonków, w którym panowała jakaś niezrozumiała tajemnica, wyryta na ich twarzach bladych, w spojrzeniach błyszczących niepokojem, utajoną trwogą.

Rodzina Steni, zrażona szorstkim obejściem Jacka, nie przychodziła wcale. Dwie młode służące zaraz po spełnieniu swych obowiązków uciekały do kuchni, która mieściła się w suterrenach.

Sami byli, a dni następowały po sobie coraz posepniejsze... Zawidmowywały się noce... Zmrok szeptał straszne rzeczy... bojaźliwie migotała nocna lampa...

\* \* \*

Szeptali, chociaż ich nikt nie mógł słyszeć — wzruszeni... w głębiach swych dusz rozchwiani.

Z nocnej lampy, zawieszanej wysoko, padało na nich przedziwo zielonych blasków...

Opowiadała mu głosem płonącym wiarą o rzeczach, miejscowościach i ludziach gdzieś, kiedyś widzianych — dzieje duszy zagubionej we wszechświecie — w wiecznym pochodzie nowych bytów...

Po twarzy jej biegły cienie namiętych tęsknot za minionym — bezpowrotnym... Czasem drgnęła w głosie straszna trwoga. —

Niekiedy głos ginał w zamyśleniu — a on, zawieszony u jej ust, z oczami palącymi się posepnym, dzikim ogniem, łowił gasnące dźwięki.

Przytuleni do siebie szeptali oplątani mistycznym dreszczem, przenikając się wzajemnie, jak dwa światła.

Niekiedy obezwładniał ich lęk i z przerażeniem wpatrywali się w zacienione kąty — niekiedy zamajaczyła w mózgach świadomość rzeczywistości i zaraz marła w falach obłądu.

— Powiedz... kiedy ujrzałaś po raz pierwszy purpurowego ptaka'? — pytał.

— Och! — to było bardzo dawno. Przypomnieć nie mogę...

— Przypomnij...

Rozszerzonymi źrenicami patrzyła przed siebie. Myśli jej rodziły się w niewiadomej głębi jej jaźni.

— Stałam na skale... okryta czymś białym... Zdaje mi się, że białymi piórami...

— Ptakiem byłaś?...

— Tak... może... Czekałam... Zrywałam się do lotu z tęsknoty... Burza rwała obłoki... szalały gromy... i nagle wśród zamieci strwożonych gwiazd ujrzałam dwa słońca — oczy płomienne... Uczułam dotknięcie piersi, przykrojonej na miarę tytanicznych oddechów... Potrącił mnie piorun... To był ptak purpurowy!... — Spojrzała na Jacka wzrokiem otchłannym — I odtąd stałam się jego własnością, poprzez wszystkie moje istnienia...

— Co więcej pamiętasz ze swoich dawnych bytów? Umierałaś?...

— Oh!... Umierałam tyle razy... Niekiedy straszną śmiercią... Raz ścięto mnie nożem... Zielona krew po mnie spływała...

— Rośliną byłaś?

— Nie wiem... może... Leżałam wiotka i biała, dopóki słońce świeciło, konając samotnie... A gdy zmierzch zapadł — umarłam.

Łzy płynęły po bladej twarzy Steni.

— Innym razem spalono mnie na stosie.

— Śniło się tobie!...

— Nie... To było w jednym z istnień moich. —

— Za co cię spalono?...

— Nie pamiętam... Strach tylko tej chwili przywarł do mnie na wieki... Ciągnęli mnie... Czuję ból razów... Żar płomieni... Ogień... Ogień... Litości!...

Ręce wyciągnęła przed siebie jakby do obrony... W oczach dygotała trwoga. Przytuliła się do Jacka.

— Patrz!... Idą po mnie... — zaszepotała obłędnie — O... widzisz, tam, kondukt pogrzebowy... Patrz!... Za oknem... Pochodnie migają... Słyszysz śpiew pogrzebowy?... Tam... za oknem... Słyszysz, jak śpiewają?... Po mnie idą...

Ciało jej trzęsło się w konwulsyjnym strachu.

— Słyszysz śpiew? — szepotała zbielełymi ustami.

— Nie słyszę...

— Wyteż słuch.... Tam... Za oknem... Pieśń pogrzebowa...

Oczami wpiła się w jego oczy.

Jacek patrzył w okno blade jak płótno. Naraz źrenice jego stały się matowymi — zahipnotyzowane.

— Słyszę — wymówił głucho.

I słyszeli oboje, jak za oknem rozpyłała się pieśń ponura.

— Patrz... O... prowadzą mnie!... widzisz?... Ot... tam... za oknem!... wpatrz się dobrze... Za oknem wloką mnie... na śmierć... na stos!... Teraz widzisz?...

— Widzę — wymówił głucho.

I widzieli oboje przesuający się za oknem pochód pogrzebowy.

Płonęły posepnie pochodnie... Chwiały się chorągwie jak żałobne jaskółki... Wyrastały cienie ludzkie...

Chóralny śpiew płynął w mrok...

Przytuleni do siebie wpatrywali się w wizję, z twarzami trupio białymi, zastygłymi z przerażenia.

Strach wił się w nich błyskawicami szaleństwa.

Kondukt zwolna przesunął się i znikł...

Powiał senny trzepot skrzydeł ptasich...

— Północ...

Coś zapłakało niemowlęcym głosem...

— Co to?...

— Puszczyki...

\* \* \*

Pewnej nocy Jacek się obudził. Serce mu było trwożnie. Myśli skupiały się, to znów rozprężyły. Na próżno usiłował zestrzelić je na jeden przedmiot.

Czuł, że zmora zbliża się — blisko jest.

Od wielu tygodni miał ją w sobie. W ciszy nocnej rozsiadała mu się w wyobraźni. Niekiedy w dzikim przed nią strachu chciało mu się wyć. Zaciskał usta dławiąc krzyk.

Ale oto zbliżała się.

W zagłębieniach pokoju słyszał już głuchy szmer skrzydeł, na ścianach ślizgały się mgławce kształty widma...

Czekał, a w głębi drżał mu dziki spazm, a usta rozciągały się konwulsyjnie do bólu.

Czekał, oddychając czająco się, głęboko.

Po chwili krzyk wypadł z ust Steni.

Pierś Jacka ugięła się pod jakimś straszliwym ciężarem, strach zdławił gardło, twarz drgnęła niepowstrzymanym, gwałtownym ruchem.

Oparł się łokciem o poduszkę i zaczął wyć.

Krzyk Steni przeszedł natychmiast w wycie.

Dwie straszne maski z zębami świecącymi zwierzęcą białością, z oczami błyszczącymi obłędem, w mocy niepojętego szалу wyły w spazmie śmiertelnego strachu.

Wyły symfonię dusz oszalałych z trwogi... długo, przeciągle... a za nieosłoniętym oknem niemowlęcym głosem płakała sowa.

Stenia zamilkła — i zupełnie przytomnym, pełnym przerażenia wzrokiem patrzyła na męża.

A on wył... wciąż wył, jak potępieniec... Pierś jego rozkołysana burzą nerwów, nie mogła się uspokoić.

Zamilkł wreszcie — i oczy ich zetknęły się w spojrzeniu świadomym, pełnym zgrozy.

Powieki zwały się zaraz nad oczami — i leżeli cicho, wstrzymując oddech, bez ruchu, z zamierającą myślą — dwie dusze zgaszone.

— Co to było?... — pytała siebie Stenia, drżąc ze strachu.

Okropna maska wyjącego Jacka wypełniła ją odrazą i strachem.

— Boję się — myślała, zaciskając oczy. — Boję się... On chyba zwariował... Straszno mi...

\* \* \*

Sypialnia młodych małżonków stała się miejscem ich kaźni.

Dusze ich rozbiegły się nagle jak dwie chmury wiatrem rozegnane i mknęły każda z osobna, w bezmiar obłądu.

Szły noce ciemne, jesienne... Na niebie zwieszały się czarne chmury niby żałobne firanki.

Za oknem wciąż płakały puszczyki.

Noc przynosiła śmiertelną trwogę.

Unikali wzajemnie swych spojrzeń. Wsuwali się do łóżek, usiłując czuwać.

Myśleli o jednym i tym samym, a myśli ich staczały się w jedną bezdnę, niby w potok.

— Boję się... Oh... gdyby już prędzej dzień nadszedł!... — myślała Stenia, drżąc cała.

Sen zwyciężał.

Wówczas mrok, rozświetlony nocną lampą, zasnuwał się bredem. Z mózgów wypadały i rzucały się

na siebie rozżarte wizje. Podwójny krzyk śmiertelnej  
męki płoszył noc...

Niemal codziennie widzieli purpurowego ptaka...

Krażył nisko... nisko nad Stenią...

Jacek widział, jak się przeistaczała... jak obłok  
światlisty pędził z wewnątrz na jej twarz, zalaną  
królewską barwą, jak wspaniałym ruchem wyciągała  
miłośnię ramiona, odrzucając z jasno bursztynowej  
piersi ciężkie sploty włosów, które rozpościerały się na  
poduszce jak aksamitne skrzydła.

Z modlitwą pożądania porywał ją w objęcia.

Wyrwana z pólśnu niepojętych uczuć, z oczami  
jeszcze pełnymi dogasających wspomnień — broniła  
się.

Walczyli w ciszy nieprzytomni, dyszący  
nienawiścią, na rubieży szaleństwa i rozpaczliwych  
przebłysków świadomości.

Mocne ręce Jacka gniotły delikatne ciało kobiety,  
która wiła się jak wąż, odtrącając napastnika.

A skoro zmora mijała, spojrzenia ich uderzały o  
siebie z krzykiem przerażenia.

Powieki zwierzały się nad oczami — i leżeli cicho, z  
zamierającą myślą — dwie dusze zgaszone...

\* \* \*

Nerwy Jacka zaczęły bystro się rozluźniać... obłęd  
czaił się w każdym poruszeniu jego myśli.

Zamykał się w swoim pokoju, dokąd nikt nie miał dostępu i chodził po kilka godzin, szepcząc jakieś słowa, wsłuchując się w nie.

— Zabij króla-ptaka — mówił mu obłąd.

Nowa myśl wpiła się w mózg Jacka.

Pozbyć się rywala!... Zmiażdżyć go potężnym cięciem... i posiąść jego kochankę.

Raz jeden niech mu opali usta pieśczołą tych ust pożądaných!... Raz jeden niech się zawrą nad nim królewskie ramiona!...

I skoro mroczna noc zaczynała się skradać za nieosłoniętym oknem, Jacek, leżąc na łóżku, wgrzązał się wyteżonym wzrokiem w ciemność, usiłując dojrzeć spadającego na pierś Steni królewskiego ptaka.

Noce następowały po sobie, jak rytmiczne ruchy w biegu czarnego rumaka, ale zmora nie zjawiała się.

Aż, w pewnej północnej godzinie, gdy za oknem płakały puszczyki, Jacek uczuł, że go otacza substancja nieuchwytna, przeczuwana za ledwie — i na tle rdzawych plam, rzuconych na ścianę niepewnym światłem nocnej lampy, ujrzał królewskiego rywala.

Porwał się — i ruchem szakalim zaczął się skradać za bujającym widmem.

Włos mu się zjeżył na głowie... Oczy zapalały obłądem, rozsadzającym granicę rzeczywistości i wizji.

Rękę uzbroił w ciężką laskę, zakończoną ołowianą kulą.

Straszliwa broń z spotęgowaną siłą migotała to tu, to tam w rzucie szaleńca.



Światło nocnej lampy drżało umierającym blaskiem...

Ciszę rozsiekały przyśpieszony oddech Jacka i świszczące w powietrzu cięcia.

Król-ptak był niedościgniony.

Bujał wysoko — to znów płynął nisko... nisko nad ciałem śpiącej Steni...

Naraz szerokim rozmachem królewskich skrzydeł uniósł się w górę — i zwycięski spadł na pierś śpiącej kobiety.

Za nim mignął cios błyskawiczny.

Krzyk straszego przerażenia przywiódł Jacka do przytomności.

W kącie pokoju, przywarta do ściany, klęczała Stenia drżąca, biała jak papier.

— Jacku!... Co ci to ?... Omal, żeś mnie nie zabił... Zaledwie umknęłam ciosu... Tak mi straszno!... Zawołam służące... Pozwól mi stąd odejść... Ja się boję ciebie... Ach... nie patrz tak na mnie!... Pozwól mi stąd odejść!... Ja się boję...

\* \* \*

O południu doręczono Steni list Jacka:

„Opuszczam ciebie. Uciekam od niewoli ciała.

W jednym ze swych nieskończonych bytów dusza twoja podległa wielkiej namiętności, która żglącą pieczęć wycisnęła na niej na wieczność.

Czy byłaś wówczas dumną orlicą, oczekującą królewskiego kochanka na samotnej skale, wśród

krzyku błyskawic i grozy piorunów, czy boską istotą, o której marzą myty, czy duszą ludzką zabłąkaną w przestrzeniach, posiadał cię duch potężny, sięgający i teraz poprzez wieki bytów po miłość twoją.

Czas, zamykający bramy za każdym istnieniem, zaniedbał swego obowiązku — i oto, pełna tęsknoty i pożądanego wyciągasz ramiona w bezmiar minionego — w otchłań wymiaru, zagubionego w wieczności istnienia.

Kocham tę istotę w tobie zawartą, niemieszczącą się w kształtach codziennego poznania — cudowną kochankę króla-ptaka. Ale szał zmysłów druzgocze potęgę ducha — i dlatego jaźnie nasze, obce sobie, spotykając się u wrót Nieznanego, rzucają się na siebie we wrogiej walce, podobne ciemnym niewolnikom, którzy wobec nadprzyrodzonych niepojętych dla nich zjawisk, biorą się za bary w popłochu panicznej trwogi.

Opuszczam cię... lecz skoro duch mój w samotności przerośnie samego siebie — i, potęgując się dotrze do obłędu, to jest do granic, poza którymi szumią bujne stepy nieokiełznanej, czujnej wyobraźni, obejmującej rzeczy niedostępne codziennym ludzkim pojęciom — skoro stanę u wrót prawdy, czającej się na rubieży tego, co czujemy i tego, co przeczuwamy, zmierzę się z moim królewskim rywalem — i poprzez wszystkie twoje przyszłe byty, dwa potężne duchy, broniąc sobie wzajem przystępu do ciebie, ścierać się będą w śmiertelnej walce, aż jeden z nich w niej padnie...”

Zofia Niedźwiedzka  
*Zmora*

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINALENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-301-9

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINALENTE

[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)